

PHARMACON

MARLENA
SIWIAK

MARIAN
SIWIAK



WYDAWNICTWO KEY TEXT
WARSZAWA, 2021

Prolog

Konferencja

– Przepraszam... przepraszam... przepraszam – pomrukiwał młody, szczupły mężczyzna w tweedowej marynarce, przeciskając się przez tłum wypełniający salę bankietową. Przeprosiny nie były szczere – koncentrował się na doniesieniu w upatrzone miejsce przynajmniej części zdobytego z trudem szampana.

Po kilku chwilach dotarł pod filar, który nie tylko chronił mu plecy przed przypadkowym popchnięciem i utratą zdobyczy, ale także pozwalał na oparcie się i odciążenie zmęczonych niewygodnym obuwiem stóp.

Pierwszy łyk z wysokiego kieliszka nie przyniósł jednak oczekiwanej ulgi – organizator przyjęcia miał najwyraźniej bardziej naglące sprawy niż dogadzanie podniebieniom uczestników. Choć podniebienie mężczyzny nie należało do wymagających, zaczął rozglądać się za możliwością odstawienia kieliszka, czując, że z tej jakości trunków wyrósł już jakiś czas temu. Nie dostrzegłszy kelnera ani dostępnego kawałka blatu, westchnął, podparł łokieć drugą ręką i zajął się kontemplacją zgromadzonych.

Na pierwszy rzut oka było jak zawsze. Doktoranci i świeżo upieczeni doktorzy albo upijali się we własnym gronie, albo kłębili wokół profesorów, starając się wyrzucić jak najkorzystniejsze wrażenie. Ci z kolei uśmiechali się ni to z sympatią, ni to z politowaniem, jednym uchem słuchając górnołotnych banałów, przechwałek i żalonych prób polechtania ich ego, nieodmiennie zmierzających do najczęściej słyszanego tego wieczoru pytania: „Czy nie ma pan miejsca dla postdoca?”

Patrząc na poczynania młodzieży, widział samego siebie sprzed kilku lat. Do dziś zastanawiał się, czy ujął wtedy swojego obecnego szefa banałem, czy przechwałką. Po latach wspólnych badań wiedział już, że profesor Bielawski nie ma ego, które dałoby się polectać.

Upił łyk szampana, zadowolony, że może cieszyć się samotnością. Młody wygląd dyskwalifikował go jako obiekt zainteresowania doktorantów, zaś osiągnięta pozycja zwalniała z obowiązku puszenia się przed starszyzną. Jego spokój mógł zakłócić jedynie któryś ze zgromadzonych na sali reporterów.

Sama ich obecność burzyła utarty porządek. Notki prasowe z konferencji naukowych były na ogół symboliczne, a na łamach ukazywały się tylko wtedy, gdy wymagała tego estetyka składu. Tymczasem mężczyzna naliczył już kilkunastu przedstawicieli mediów. Ich identyfikacja była łatwa, gdyż w swych nienagannych strojach przypominali papugi pośród wróbli. Wrażenie potęgował fakt, że większość z nich miotała się między grupkami naukowców właśnie niczym spłoszone ptactwo. Inni daremnie szukali wskazówek u obsługi, nieodmiennie zbywającej ich wzruszeniem ramion. Pozostali albo gorączkowo wertowali program konferencji, albo dyskutowali przez komórki. Mężczyzna ze zdziwieniem rozpoznawał pośród tych zdezorientowanych twarzy czołowych amerykańskich dziennikarzy.

Tymczasem wokół niewielkiego podium w kącie sali zapanowało poruszenie. Wszyscy goście, jeden za drugim, kierowali uwagę w stronę mównicy. Ze zniecierpliwieniem wyczekiwano powitalnego przemówienia – szczególnie że zaraz po jego zakończeniu miała rozpocząć się uczta. Przypominały o niej suto zastawione stoły w holu, już od półgodziny drażniąc nosy zgromadzonych zapachem potraw.

Wreszcie przed mikrofonem pojawił się przygarbiony mężczyzna w znoszonym fraku. Światło reflektorów odbijało się od jego łysiny, prześwitującej przez zaczesane ze skroni rzadkie siwe włosy. Szmery i chrząknięcia ucichły jak nożem uciął.

– Przepraszam najmocniej koleżanki i kolegów, jednak moim obowiązkiem jest przywitanie wszystkich szanownych gości. Zważywszy na bliskość kolacji, postaram się mówić krótko.

Staruszkowie wybuchnęli szczerym śmiechem, zaś młodzież chichotała nerwowo.

– Ponieważ nie wszyscy mnie znają, pozwolą państwo, że się przedstawię. Nazywam się Frank Sestiere i mam niewątpliwy zaszczyt być gospodarzem tej konferencji.

Oparty o filar mężczyzna spostrzegł, jak kilku reporterów wpisało nazwisko w swoje smartfony i niemal parsknął śmiechem na widok ich wydłużających się ze zdziwienia twarzy. Powoli docierało do nich, kim jest skromny, lekko uśmiechnięty staruszek. Chyba inaczej wyobrażali sobie trzykrotnego noblistę.

Łysina profesora Sestiere rozblęśla ponownie, tym razem światłem fleszy.

– Zostaną tu zaprezentowane wyniki badań, które, moim zdaniem, będą odkryciem na miarę wynalezienia koła.

Goście zeszytnieli. Dziennikarze wpatrywali się tępo w swoje smartfony, ale tym razem chyba nie przychodziło im do głów żadne zapytanie, którym mogliby uraczyć wyszukiwarki. I nic dziwnego. Co mogły oznaczać takie słowa płynące z ust człowieka, który stworzył pierwszy w pełni syntetyczny organizm minimalny i wysłał neutrino – czymkolwiek by to nie było – do równoległego wszechświata?

– Pozwoliłem sobie, jako organizator, poinformować media o doniosłości wydarzeń, które, wedle mojej wiedzy, będą tu miały miejsce. Przyzwoitość nie pozwala mi jednak na ujawnienie samego odkrycia przed jego autorem, ale i tak wszystko wyjaśni się do niedzieli. Uważam, że obowiązkiem obecnych tu przedstawicieli mediów jest opisanie tego, co wkrótce usłyszą, w sposób możliwie przystępny, acz wolny od przekłamań.

Mimo stanowczego tonu i niepozostawiającej wątpliwości apostrofy reporterzy rozglądali się na boki, jakby nie rozumiejąc, że to nie o nich mowa. Na szczęście profesor Sestiere miał już za słaby wzrok, by to dostrzec, więc niezrażony zakończył:

– A teraz zapraszam do stołów!

Staruszek z trudem zszedł z podium i zniknął w bocznych drzwiach, ku którym natychmiast rzuciło się kilku stojących najbliżej dziennikarzy. Oparty o kolumnę mężczyzna jako jeden z nielicznych nie sięgnął po program konferencji, lecz ruszył spokojnym krokiem w kierunku pieczonego prosiaka. Zdążył skroić plaster golonki, dorzucić na talerz kilka pomidorków koktajlowych i podmienić kieliszek na pełny, nim za jego plecami na po-

wrót rozległ się gwar. Pierwszy szok już minął i uczestnicy konferencji przypomnieli sobie, że na najlepsze kawałki na stole popyt zawsze przekracza podaż. Mężczyzna, balansując talerzem, wy dostał się z tłumu i wrócił na swoje miejsce. Westchnął i odstawił kieliszek na podłogę. Najwyraźniej nauka nie rozwinęła się jeszcze na tyle, żeby opracować wynalazek pozwalający stojącej osobie na jednoczesne jedzenie z talerza i trzymanie kieliszka.

Zjadł pomidorki, po czym z irytacją spojrzął na leżącą na talerzu wieprzowinę. Nawet wziął ze sobą nóż i widelec, ale znów brakowało mu dodatkowej ręki.

– Dzień dobry. Doktor Niv Sokol, jak przypuszczam? – Nieprzyjemnie wysoki, męski głos wyrwał go z rozważań nad kajdanami *savoir-vivre*'u.

Niv musiał podnieść głowę, żeby spojrzeć rozmówcy w oczy. W pamięci próbował umiejscowić go w którejś z obserwowanych wcześniej grup – bez powodzenia. Nawet dziennikarze nie charakteryzowali się tak wymodelowaną sylwetką, równym uzębieniem, symetrią twarzy będącą wynikiem pracy skalpela chirurga plastycznego i ostentacyjnie drogim ubraniem. Na pierwszy rzut oka dałby mu maksymalnie trzydzieści lat. Dopiero bliższe oględziny skóry dłoni i szyi – cokolwiek już zniszczonej – kazały zwiększyć tę liczbę przynajmniej o piętnaście.

– Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się John Adams. Jestem przedstawicielem Blue Pill Corporation, a konkretnie dyrektorem do spraw kontaktów z uniwersytetami i instytucjami badawczymi. – Mężczyzna zawiesił na chwilę głos, jakby w oczekiwaniu na reakcję, ale odpowiedziało mu tylko poirytowane spojrzenie. – Chciałbym z panem porozmawiać.

– Rozmawiaj pan. – Niv ukucnął, sięgając po kieliszek. Nie miał zamiaru silić się na uprzejmości. Nie lubił firm farmaceutycznych i nie widział powodu, dla którego miałby to ukrywać. Szczególnie gdy ich przedstawiciele wylewają na siebie pół butelki wody kolońskiej po każdym goleniu. Dyrektor Adams nachylił się nad Nivem i zniżył głos do szeptu:

– Tutaj jest zbyt... głośno. Poza tym nie sądzę, żeby chciał pan zobaczyć reakcję tych wszystkich ludzi, jeśli wskażę im właśnie pana, jako osobę, o której mówił profesor Sestiere.

– Skąd to przypuszczenie? – Niv wyprostował się tak gwałtownie, że tylko refleks uratował jego rozmówcę przed nokautem.

– Wie pan, w przeciwieństwie do pana kolegów po fachu, nie mówiąc o tych pismakach, zapoznajemy się z osiągnięciami prelegentów każdej istotnej konferencji i typujemy interesujące odkrycia. Pańskie prace osiągnęły w naszym systemie wynik bliski maksymalnemu. A i to pomimo stosowanych przez pana ogólników. To jak? Porozmawia pan ze mną... czy może mam wydać z siebie okrzyk zdumienia i zachwytu?

Niv bez słowa podał tamtemu talerz z mięsem i kieliszek, a następnie wyjął zmiętoszony program konferencji z kieszeni marynarki. Przejrzał wykłady, które wydawały mu się interesujące, wreszcie odezwał się:

– Myślę, że znajdę czas jutro, w trakcie przerwy na lunch. Pan dyrektor pozwoli, że najpierw zjem w spokoju i spotka się ze mną nie wcześniej niż o wpół do drugiej.

– Myśli pan, że pół godziny nam wystarczy? Mam wrażenie, że nie wie pan, z kim ma pan do czynienia.

Niv odebrał talerz i kieliszek, a następnie zawartość jednego i drugiego umieścił na spodniach rozmówcy. Przez chwilę obaj patrzyli, jak mokra plama w okolicy krocza się powiększa, a plaster szwiny zsuwa się z nogawki na nieprawdopodobnie długi nosek kowbojskiego buta ze skóry aligatora. Twarz Adamsa wykrzywił grymas wściekłości, błyskawicznie się jednak opanował i wbił wyczekujące spojrzenie w Niva, który odparł:

– Przepraszam najmocniej, ale jak ktoś mnie straszy, to zaczynają mi się trząść ręce. Widzimy się jutro o godzinie trzynastej trzydzieści. A teraz muszę coś zjeść, konam z głodu.

Naukowiec odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając pod filarem czerwieniejącego przedstawiciela Blue Pill. Przy stole, na resztkach pozostawionych przez profesorów, żerowała młodzież, głośno przechwalająca się zdobytymi kontaktami. Niv, przezornie krojąc nową porcję mięsa na drobniutkie kawałeczki, jednym uchem przysłuchiwał się tej radosnej paplaninie. Mimowolnie uśmiechnął się, gdy wróciło do niego wspomnienie podniecenia, jakie ogarnęło go, gdy na takiej konferencji jego obecny szef po raz pierwszy zadał mu pytanie, na które szczęśliwie znał odpowiedź.

Ze wspomnień wyrwał go przyjemny damski głos.

– Cześć. Ładny manewr – rzuciła drobna brunetka o okrągłej buzi i wielkich, zielonych oczach. Jej twarz przywodziła na myśl pyszczki szczeniaków lub kociąt z kolorowych nalepek dla dzieci.

Niv, wciąż myślami znajdujący się kilka lat wstecz, spojrział na nią zdziwionym wzrokiem.

– Widziałam, jak załatwiłeś tego bubka z Blue Pill. Pół roku temu ten bydlak dosiadł się do mnie i przez godzinę próbował wyciągnąć nasze protokoły badawcze. Tak w ogóle to jestem Daiva.

– Wskazała przypiętą na piersi plakietkę.

Niv podążył wzrokiem za jej palcem. Po pięciu sekundach zaświtała mu myśl, że być może zbyt bezczelnie gapi się na biust, skądinąd świetnie podkreślony krojem bordowej sukienki. Jego rozmówczyni delikatnie odchrząknęła:

– Coś nie tak?

– Nie, nie, skąd. – Zmusił się do spojrzenia z powrotem w stronę stołu. – Po prostu zastanowił mnie twój świetny... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – akcent!

– Nie wszyscy Amerykanie uczą się mówić z gumą do żucia w ustach.

– Przepraszam, nie jesteś Litwinką? – Niv złapał się na tym, że znów wlepił wzrok w okolice plakietki.

– Nie, skąd ten pomysł? – Roześmiała się perliście.

– Twoje imię jest litewskie. Wymyślił je nasz pisarz, Wilhelm Storost.

– Na nazwisko mam Parker. To chyba nie kwalifikuje się do pierwszej dziesiątki najpopularniejszych nazwisk na Litwie, a co do imienia... myślałam, że moi rodzice po prostu źle zapisali awestyjskie „Daeva”. A ty?

– Co ja? – Niv zamrugał. Jego myśli zdążyły powędrować z powrotem tam, gdzie wzrok nie powinien.

– Masz jakieś imię?

Daiva wygięła się i wyciągnęła szyję, by dojrzeć jego niedbale przypiętą plakietkę. Niv po raz trzeci skarcił się w duchu za oblażenie jej wzrokiem.

– Niv. Niv Sokol – wydukał. Odrobinę roztrzęsioną ręką chwycił za ucho sosjerki w próbie zajęcia uwagi czymś trywialnym.

Daiva przez chwilę bacznie przyglądała się jego reakcji, po czym skwitowała ją łobuzerskim uśmiechem, a w jej oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

– Spokojnie, nie szukam pracy – rzuciła swobodnie. – Jestem postdocem na Harvardzie. Co badasz?

– Siedzę w Weizmannie. Zajmuję się DNA.

– Naprawdę? A ja biologią.

Niv się zmieszał.

– To znaczy... modyfikacją DNA. Tkanki nowotworowe, te rzeczy...

– Następny od leku na raka?

– Wprost przeciwnie.

– Mutageny? Jeśli w laboratorium radzisz sobie równie sprawnie, jak tu – Daiva patrzyła z zainteresowaniem na jego talerz – to będziesz miał ciekawe dzieci.

Niv mrugnął kilka razy i dopiero wtedy udało mu się skupić wzrok na tym, co robił. Odruchowo złapał najbliższą serwetkę i próbował wytrzeć brązową plamę, która ściekała z talerza. Po chwili gęsty sos pokrywał sporą część obrusa. Kątem oka widział, jak poszerza się kpiący uśmiech Daivy.

– Nie pracuję nad mutagenami, tylko nad nanobotami – wypalił, przyklepując serwetką lepką plamę. – Dają się programować. W przeciwieństwie do sosu.

Ugryzł się w język. Przyjechał tu z mocnym postanowieniem nieopowiadania o swojej pracy przed oficjalnym wystąpieniem. Na szczęście Daiva nie podjęła tematu. Skwitowała jego wypowiedź krótkim „aha”, wyjęła mu z rąk brudną serwetkę i przykryła nią talerzyk. Następnie ujęła go pod ramię i delikatnym ruchem dała do zrozumienia, że pozwoli poprowadzić się w kierunku sali balowej. Niv ruszył potulnie, mimo że jego żołądek chętnie pozostałby w towarzystwie jedzenia.

– Swoją drogą, jak ci się spodobał tajemniczy wstęp Sestiere? – zagadnęła Daiva. – Idę o zakład, że połowa zgromadzonych ma nadzieję, że mówił o nich.

– Tylko połowa?

– Druga połowa jest tego pewna.

– A ty? Do której połowy należysz?

– Tej z nadzieją, chociaż po tym, co od ciebie usłyszałam, już z mniejszą.

Niv zatrzymał się i spojrzał na nią zaskoczony. Daiva z uśmiechem klepnęła go w ramię.

– Nie wątpię, że Sestiere mówił o tych twoich nanobotach. Chyba każdy chciałby móc zaprogramować sobie raka, który go wykończy... – Przewróciła oczami, gdy zauważyła, jak zdziwienie na twarzy jej rozmówcy przeradza się w irytację. – Przepraszam, nie chciałam cię urazić.

Niv próbował przywołać na twarz uśmiech, ale był naprawdę wściekły. Znad ramienia Daivy zobaczył bowiem, że jego szef daje mu rozpaczliwe, przywołujące znaki. Zawsze miał fatalne wyczućie czasu! Na domiar złego Daiva źle zinterpretowała jego reakcję. W myślach szukał bon motu, który pozwoliłby mu przeprosić, wyjaśnić i obrócić wszystko w żart, ale prawda była taka, że w towarzystwie atrakcyjnych kobiet błyskotliwe komentarze z trudem przychodziły mu do głowy. A figlarne spojrzenie jej ogromnych oczu tylko pogorszyło sytuację, paraliżując go kompletnie.

– Ja... no... tego... bo tam... – dukał, jednocześnie starając się dać do zrozumienia szefowi, że podejdzie za chwilę, ale ten był kompletnie odporny na przekazy niewerbalne.

Jak zwykle.

Daiva zmarszczyła brwi, obserwując jego miny, wreszcie odwróciła się i dostrzegła machającego staruszka.

– Twój szef?

– Ta... Tak. Profesor Joshua Bielawski.

Widząc, że zwrócili na niego uwagę, podekscytowany profesor zaczął podskakiwać, machając już obiema rękami.

– To idź do niego, chyba ma do ciebie sprawę. Poczekam na parkiecie. Rozgrzeję się trochę.

Niv ukłonił się i niemal biegiem pokonał dystans dzielący go od szefa.

– Co się stało? Jak pan profesor widzi, jestem trochę zajęty. – Niv nerwowo oglądał się za niknącą na parkiecie bordową sukienką.

– Widzę, widzę. Nie chciałem przeszkadzać, ale rozumiesz, sprawa jest ważna. – Nieobecny uśmiech profesora budził nie-

pokój. – Nie masz może dodatkowej przejściówki na tutejsze gniazdko? W recepcji się skończyły, a następna dostawa pojutrze.

Niv pokręcił głową z niedowierzaniem, ale zanim znalazł słowa, którymi mógł, nie łamiąc dobrych obyczajów – ani swojej kariery – skomentować to pytanie w obecności szefa, ten machnął ręką.

– No, ale nie po to cię zwołałem. Nie uwierzysz, ale po tych wszystkich latach moje badania nad helikazami zainteresowały przemysł. Chcą zamówić u mnie konsultacje!

– Świetnie! Cieszę się – burknął Niv, chociaż wcale się nie cieszył. Z każdą sekundą rosła szansa, że bordowa sukienka zniknie mu z oczu na dobre. – Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Pomyślałem, że może też trochę zarobisz i wspomniałem temu miłemu człowiekowi, że powinien także porozmawiać z tobą. W końcu twoje nanoboty też mają aktywność helikazową.

Słyszając to, Niv ukrył twarz w dłoniach. Nie chciał sprawiać staremu profesorowi przykrości, ale prosił go przecież...

Profesor Bielawski, o dziwo, znalazł się myślami na tyle blisko ziemi, żeby dobrze zinterpretować jego gest.

– Spokojnie, nie podawałem żadnych szczegółów, bo znowu bym coś pokręcił. Po prostu mamy się z nim spotkać.

– Czy ten miły człowiek miał może kwadratową szczękę, jedwabny garnitur i buty ze skóry aligatora?

– Nie! Skąd ten głupi pomysł? Kto poważny ubrałby się tak na konferencję?!

Niv uśmiechnął się mimowolnie, słysząc to z ust człowieka ubranego w kraciatą, flanelową koszulę i wełnianą kamizelkę wyciętą w serek. Profesor kontynuował:

– Zostawił mi wizytówkę. Sprawdź w sieci, co to za firma.

Podał Nivowi kartonik z logo InnoMed Pharmaceuticals, po czym zamilkł, utkwivszy wzrok w przestrzeni. Niv tego nie znosił, bo nigdy nie wiedział, czy profesor za chwilę coś doda, o coś zapyta, zmieni temat, czy też właśnie uznał rozmowę za zakończoną i odpłynął myślami do znanej tylko sobie krainy. Na szczęście tym razem z pomocą przyszła orkiestra, która nagle uderzyła w żywsze tony. Profesor zatrzepotał powiekami, popatrzył na parkiet i klepnął Niva w ramię.

– Jeszcze tu jesteś? Błąd! Nie sędzę, żeby tak piękna niewia-
sta czekała na kogoś takiego jak ty dłużej niż trzy minuty. Tylko
nie zapomnij. Jutro o wpół do drugiej w kafeterii. Do zobaczenia!
– Odwrócił się i tanecznym krokiem, choć najwyraźniej w rytm
jakiejś innej muzyki, poczłapał do wyjścia.

Niv przez chwilę zastanawiał się, czy nie pobiec za profesorem
i nie powiedzieć mu, że o wpół do drugiej ma także rozmawiać
z przedstawicielem Blue Pill, ale gdy odwrócił się w stronę parkietu,
chcąc zasygnalizować Daivie, że za minutę wróci, zamarł. Wirowała
w tańcu na samym środku, a wokół niej błyskawicznie zwiększa-
ła się liczba podrygujących samców. Sędząc po nadętych minach
i niezbornych ruchach, bardziej niż na tańczeniu skupieni byli na
głośnym omawianiu swoich wyników i otrzymanych nagród.

Niv wyprostował się, nabrał powietrza w płuca i ruszył w stro-
nę Daivy. Choć nie uważał się za dobrego tancerza, nie miał wąt-
pliwości, że i tak rusza się lepiej od zdecydowanej większości
zgromadzonych, choćby z uwagi na fakt, że – w przeciwieństwie
do nich – niemal zawsze znajdował czas, by trochę poćwiczyć,
najlepiej na świeżym powietrzu. Przywykłe do wysiłku mięśnie
i nabyta podczas wspinaczki koordynacja sprawiały, że ruchy miał
pełne gracji, zaś częsty kontakt z pogodą pozbawił go zielonkawej
bladości cery, tak charakterystycznej dla młodego pokolenia na-
ukowców, hodowanych przy świetle monitorów w klimatyzowa-
nych laboratoriach. I chociaż na sali gimnastycznej nie wyróżniał-
by się ani sprawnością, ani muskulaturą – w końcu dzięki skałkom
bardziej rosły mu ścięgna niż mięśnie – to tutaj z satysfakcją za-
uważał, że jako jeden z nielicznych w towarzystwie ma koszulę,
która dopina mu się na brzuchu.

Daiva przyjęła jego pojawienie się z ostentacyjną ulgą, i gdy pół
godziny później skierowali się z powrotem do sali bankietowej, nie
podążał już za nimi żaden z podrywaczy.

Niv nalał szampana do kieliszków, po czym zajęli jeden ze
stolików na uboczu. Zarówno spora część dyskutantów średnie-
go szczebla, jak i młodzieży uprzednio oblegającej starszą, wy-
wędrowała na parkiet, więc wyraźnie było widać, jak przez
ostatnią godzinę zmieniła się sytuacja geopolityczna. Teraz sto-
liki okupowały wyłącznie monokultury profesorów. Wszystkie

krawaty i muchy, już wcześniej nieliczne, powędrowały do kieszeni, na blatach pojawiały się kolejne butelki wina, a uśmiechy robiły coraz szersze. Niewprawy obserwator mógłby uznać, że prowadzone rozmowy nie wykraczają poza omawianie sukcesów wnuków w rozmazywaniu dżemu po ścianach.

Wrażeniu temu najwyraźniej dali się zwieść wciąż zagubieni dziennikarze, którzy nie potrafili dostrzec, że na ich oczach tworzą się projekty warte miliony dolarów. Korzystało z tego kilku doktorantów, którzy znaleźli sobie nową rozrywkę. Zaczepiali reporterów i – z wymalowaną na twarzach troską – pomagali im przeglądać program konferencji, objaśniając znaczenie poszczególnych punktów. Niv i Daiva pękali ze śmiechu, słysząc, jak każdemu z dziennikarzy opowiadają inną bajkę.

– Gdyby zobaczył to Sestiere, powyrywałby im nogi z... – Niv zreflektował się, że rozmawia z damą i urwał wymownie.

– A każdy z nich dałby sobie dodatkowo obciąć rękę, żeby móc opowiadać wnukom, że miał z nim bezpośredni kontakt.

– Ciekawe, ile jeszcze te papugi tu wytrzymają?

– A która jest godzina? – Daiva zaczęła nerwowo szperać w torebce.

– O północy zmieniasz się w Kopciuszka? – Niv udał zaniepokojenie.

– Nie, dziś siódmy mecz play-offu Byków i Magików. Kwadrans po dziewiątej powinny być wyniki.

Niv teatralnym gestem uniośł palce do skroni.

– Mmm... – inkantował przez dwie sekundy, po czym zamrugał gwałtownie. – Jeszcze grają.

Daiva rzuciła okiem na swój telefon i rozejrzała się uważnie, ale nie dostrzegłszy żadnego ekranu telewizyjnego, posłała Nivowi podejrzliwe spojrzenie.

– Skąd wiedziałeś?

– Wierzysz w magię?

– Jasne. Dlatego Magicy rozniosą dziś Byki w pył.

– Brzmi logicznie.

– Kolejnym argumentem przemawiającym za jej istnieniem jest fakt, że większość facetów, z którymi się umawiałam, magicznie zniknęła, gdy dowiadywali się, że mam trzycyfrowe IQ.

– A masz? – Niv zrobił przerażoną minę, po czym uśmiechnął się wymijająco. – To świetnie. Wspaniale! Tylko robi się późno, wiesz? Dzięki za taniec i w ogóle, ale ja będę leciał...

Daiva pokazała mu język.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie.

– Prawdziwy magik nie zdradza swoich sztuczek, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Kolega wyśle mi wiadomość z wynikami zaraz po meczu.

– No tak, każda odpowiednio zaawansowana technologia niczym nie różni się od magii. Jak myślisz, kto wygra półfinały?

– Zależy, kto jutro wygra w Bostonie...

Rozmowa zdążyła zejść na Konferencję Zachodnią, gdy Niv dostrzegł w drzwiach uważnie rozglądającego się po sali Johna Adamsa.

– Masz ochotę jeszcze potańczyć? Grają spokojniej, więc będziemy mogli kontynuować obstawianie, a tu zaraz dopadnie mnie nasz znajomy bubek z Blue Pill.

– Myślałam, że już nigdy tego nie zaproponujesz! – Daiva ochoczo przyjęła podstawione ramię. – Ale jeśli jeszcze raz nadpnieś mi na palce, to sama go zawołam.

– Nie zrobiłabyś tego! – Niv wziął się pod boki, udając oburzenie. – Kara powinna być współmierna do winy.

– No właśnie. Swoją drogą... Widziałam, że podłożyłeś mi świnię, dosłownie i w przenośni, już po minucie rozmowy. Czym cię tak wkurzył?

– Rozmawiałaś z nim, powinnaś wiedzieć.

– Mnie wkurzył, bo próbował, do tego fatalnie, wyciągnąć za darmo informacje, za które ostatecznie zapłacił nam siedmiocyfrową kwotę.

Niv zatrzymał się z wrażenia.

– To w końcu z nim współpracowałaś?

– Nie osobiście. Katedra podpisała z nim umowę licencyjną na kilka naszych metod. Chociaż ta jego firma była dla nas cierniem w... no wiesz. – Błysk w oku Daivy zdradzał głęboką irytację. – Szeff zdecydował się na współpracę z nimi, bo płacili najwięcej, ale potem wydaliśmy połowę zysku na prawników. Blue Pill pozywał nas za to, że metoda działała zgodnie z opisem, a nie z ich wyobrażeniami.

– Nie szkoda wam czasu na takich jak oni?

– W Stanach połowa pieniędzy na badania idzie z przemysłu. Myślałam, że w Weizmannie ten odsetek jest jeszcze wyższy.

– Szczerze mówiąc? Nie mam pojęcia – Niv zmarszczył brwi – ale na pewno nie u Bielawskiego. Jedyna firma, z jaką mamy styczność, to serwis naszego ekspresu do kawy.

– To może poproszę go o stypendium. – Daiva uśmiechnęła się, nie zauważając, że Niv, słysząc te słowa, pogubił krok.

W końcu dotarli do parkietu. Czując, jak partnerka przywiera do niego w tańcu, Niv modlił się, żeby orkiestra utrzymywała senne tempo.

– Nie odpowiedziałeś mi, czemu z miejsca zapalałeś sympatią do Adamsa.

– Nie lubię ludzi, którzy myślą, że wszystko można dostać za pieniądze.

– A wiesz, że on tak samo myślał o mnie?

– Że uważasz, że wszystko możesz dostać za pieniądze? – Niv kątem oka zlustrował jej biżuterię. Nagle nabrał przeświadczenia, że przeszacował liczbę atomową głównego składnika białych kryształków rozświetlających jej szyję, uszy i ręce. O całe trzydzieści dwa.

– Nie. Że mnie także można kupić. – Westchnęła.

– Idiota.

– Skąd wiesz, że nie miał racji?

– Bo tańczysz teraz ze mną.

– Co ma do tego taniec? Widziałeś te jego buty? Naprawdę nie lubię deptania po palcach.

– Myślałem, że nie znalazłaś maski przeciwgazowej pasującej do jedwabnej sukienki.

Obydwoje parsknęli śmiechem. Niestety, ta chwila nieuwagi wystarczyła, żeby podeszwa Niva znalazła się na stopie Daivy. W panice próbował się odsunąć, ale ona przytuliła się do niego mocniej.

– Zastanawiałam się kiedyś, czy biedniejsi są ci, którzy mają za mało pieniędzy, czy za dużo.

– Nie zetknąłem się z nikim, kto twierdziłby, że ma za dużo pieniędzy.

– O tym mówię. O ludziach, którzy tak uzależnili się od pozyskiwania nowych przedmiotów, że nie widzą, że na poziomie materialnym mają już wszystko, czego im potrzeba.

– I oni mają być biedniejsi od tych, którzy nie mają nawet jedzenia?

– Jedni i drudzy wciąż myślą o pieniądzach i rzeczach, które za nie kupią.

Niv przygryzł wargę.

– A co powiedziałaabyś o kimś, kto po prostu chce mieć dość pieniędzy, żeby nie musieć o nich myśleć?

– Pytanie, kiedy uzna, że może przestać.

– Na przykład kiedy stać go będzie na własne mieszkanie oraz samochód, chociaż o połowę od niego młodszy...

Niv, słysząc własne słowa, zatrzęsł się ze złości. Ależ był głupi! Chciał po prostu odciąć się od podejścia Adamsa, a skończył, użalając się nad swoją sytuacją materialną. Rozpaczliwie szukał sposobu, by jakoś zmienić temat.

W sukurs przyszła mu orkiestra, uderzając w żwawsze tony. Nie minęło półtorej minuty, a opustoszały parkiet zaludnił się ponownie.

– Buty strasznie zmasakrowały mi stopę. – Niv skrzywił się przeprasząc. – Może masz ochotę usiąść w jakimś spokojniejszym miejscu? Nie dam już rady tańczyć.

– Ach, mężczyźni! – Daiva się roześmiała. – Dzielni bez sensu. Trzeba było powiedzieć od razu, że but cię obciera. Myślisz, że to coś dziwnego dla kobiety? – Mrugnęła do niego. – My kupujemy nowe buty znacznie częściej od was. Ale nie! Lepiej grać macho. Wiesz, że ten wzorzec męskości zdewaluował się dobrych kilkadziesiąt lat temu?

Niv wziął wdech, żeby jej odpowiedzieć, ale uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

– Nie zaprzeczaj, bo akurat mnie się to podoba. Jeśli dyskretnie, w ramach pielęgnowania machismo, zwiniiesz jeszcze butelkę szampana, to może spróbujemy poratować te twoje obolałe stopy u mnie w pokoju. Mam plastry.

Bezpruderyjność tej propozycji tak zaskoczyła Niva, że zaniemówił na kilka sekund. Dobierana z pietyzmem talia ripost, dow-

cipów i złotych myśli wypadła mu z rąk, gdy dotarło do niego, że drugi gracz właśnie przewrócił stolik.

Kiwnął głową, wymamrotał coś bez ładu i składu i ruszył w ślad za Daivą. Pozbierał się dopiero kilka kroków dalej i od niechcienia zdjął marynarkę, a w drodze do drzwi, pod pozorem sięgania po koreczki, ukrył pod nią butelkę. Szczęśliwie kobieta zdążyła już odejść kilka kroków, więc chyba nie dostrzegła, że podszedł do niego jeden z kelnerów i uprzejmie zapytał o numer pokoju, do rachunku którego powinien doliczyć trunki. Na domiar złego Niv przypomniał sobie, jakiej jakości alkohol tu serwowano i humor popsuł mu się jeszcze bardziej.

— Nie przejmuj się tak — powiedziała Daiva na widok jego płonących ze wstydu uszu, kiedy dogonił ją przy windzie. — Ja tylko niosę pomoc. W końcu jestem doktorem.

— Nie, to nie tak... — Wspaniale zarysowane brwi uniosły się pytająco, dając Nivowi do zrozumienia, że palnął głupstwo. — To znaczy tak. Ale wiesz, różnie ludzie gadają... — Zdawał sobie sprawę, że pograża się coraz bardziej, ale wołał to, niż zdradzić prawdziwy powód swojego zakłopotania. Butelka szampana, mimo że już legalnie nabyta, ciążyła mu w dłoni.

— Gdybym robiła coś, co uważam za naganne i przejmowała się tym, co ludzie powiedzą, dałabym ci mój numer pokoju i poprosiła, żebyś przyszedł za pół godziny.

— Mhm...

— A ty stałbyś tu jak on — wskazała na młodzieńca opartego o ścianę kilka metrów dalej — i co dziesięć sekund spoglądał na zegarek.

Faktycznie, nim usłyszeli dźwięk windy, mężczyzna zdążył odsunąć mankiet koszuli dwukrotnie.

— Nie stałbym — zaprotestował słabo Niv. — Naprawdę bołą mnie stopy.

Gdy weszli do windy, Daiva zajęła się poprawianiem lekko zwichrzonej w tańcu fryzury, co dało Nivowi kilka chwil na uporządkowanie myśli. W wojnie płci brakowało mu intuicji, co nie oznaczało, że nie był doświadczony. Niestety, przebieg wcześniejszych znajomości nie pozwalał na przyjęcie jakiejś konkretnej strategii. Bywało, że udana randka kończyła się upojną nocą, jednak zda-

rzało mu się także dostać w twarz, i to tylko za próbę pocałowania dziewczyny w policzek przed drzwiami jej pokoju. Było to dla niego kompletnym zaskoczeniem, bowiem na parkiecie, zaledwie dziesięć minut wcześniej, nie tylko pożerała go wzrokiem, ale także namiętnie pieściła i przyzwalała na gesty, za które jeszcze dziś jego matka spuściłaby mu lanie. No ale to była Szwedka. Koledzy powiedzieli mu później, że gdy z nią wyszedł, robili zakłady, czy wróci z rozbitym nosem, czy łukiem brwiowym. Zdarzało mu się też przegadać całą noc, sam na sam w pokoju z najładniejszą dziewczyną na imprezie. Czasem okazywało się, że na nic więcej i tak nie mógł liczyć, a czasem wprost przeciwnie – żadne z nich nie mogło zrozumieć, dlaczego nie doszło do niczego więcej. Ale to była purytańska Europa Wschodnia. O ile zdążył się przekonać, Amerykanki były raczej bezpruderyjne. Z drugiej strony z tymi, które rwały się do łóżka, niełatwo było porozmawiać o czymś więcej niż ich praca lub wygląd. Żadna nie dorównywała Daivie klasą, więc tym trudniej było mu ocenić, czego tak naprawdę nowo poznana kobieta od niego oczekuje. Westchnął ciężko nad meandrami różnic kulturowych.

– No i jak, zebrałeś się na odwagę?

Zorientował się, że od kilku chwil stoją przed otwartymi drzwiami do jej pokoju.

– W sumie zapomniałem spytać, czy jesteś doświadczalnikiem, czy teoretykiem.

– A jakie to ma znaczenie?

Niv z zadowoleniem stwierdził, że po raz pierwszy to on wprawił ją w zakłopotanie.

– Jeśli mam się oddać w twoje ręce, chciałbym wiedzieć, jaki jest poziom twojej sprawności manualnej. Zastanawiałem się właśnie, czy przypadkiem ta butelka szampana nie ma mi służyć za anestetyk.

Daiva odetchnęła z ulgą. Chyba przez moment bała się, że trafiła na oszołoma, który dzieli ludzi na teoretyków i idiotów. Szybko odzyskała rezon.

– O niczym nie marzę tak, jak o nawalonym facecie chrapiącym w moim łóżku. Łazienka jest po prawej. Zrzuć te buty i przygotuj się do zabiegu.

Gdy po pięciu minutach wyszedł, roześmiała się, widząc jego podwinięte do kolan nogawki. Czekał na jakiś złośliwy komentarz w stylu: „Wybierasz się na ryby?“, ale tym razem Daiva dobrodusznie przemilczała sprawę.

– Mam nadzieję, że nie spieszysz się za bardzo. – Przeszła za jego plecy, kołysząc biodrami. – Patrząc na to, co cieknie z twojej pięty, powinnam się przebrać, nim się za nią zabiorę. Możesz w międzyczasie nalać szampana. Kieliszki widziałam w szafce przy łóżku, a butelka jest już w lodówce.

– Tak jest! – odpowiedział Niv, ale polecenie wypełnił tylko połowicznie, bowiem gdy wyciągał kieliszki, jego uwagę przykuła leżąca na blacie książka. Sięgnął po nią bezwiednie, usiadł na łóżku i zagłębił się w lekturze. Gdy kilka minut później Daiva stanęła w drzwiach łazienki, z wrażenia niemal wypuścił ją z rąk.

Jeśli wcześniej zdawało mu się, że sukienka dobrze podkreśla jej kobiece kształty, to teraz doszedł do wniosku, że było wprost przeciwnie – ukrywała je. Wbrew jego nieśmiałym oczekiwaniom, Daiva nie ubrała się w szlafrok – co pozwalałoby łatwo przewidzieć dalszy przebieg wieczoru – ale w dopasowane dzinsy i krótki biały podkoszulek. Sposób, w jaki układał się na piersiach, kiedy wygięła się do tyłu, wycierając włosy, przyprawił go o suchość w ustach. Kusy materiał podjeżdżał coraz wyżej i wyżej po jej płaskim brzuchu, a kilka kropel wody utworzyło na koszulce półprzezroczyste plamy, które ponad wszelką wątpliwość dowodziły, że pod spodem nie miała nic. W końcu zawinęła turban i wyprostowała się.

– O, jednak książka – powiedziała z uśmiechem, zdając się nie dostrzegać, jakie wrażenie wywarła na Nivie.

– Słucham? – Niv wziął głęboki wdech, żeby nieco rozluźnić napięte nagłym podnieceniem mięśnie.

– Na szafce leży pilot od telewizora, a jednak wybrałaś książkę.

– Pilot? – zdziwiony Niv spojrzał na blat. – Faktycznie. U mnie hotel zostawił Biblię i katalog sklepu wolnocłowego, ale nie biografie Picassa.

– Hotel zostawił! – Urażona wyduła usta.

W tym geście było coś tak niewinnego i zarazem lubieżnego, że Niv położył sobie książkę na udach, nie ufając luźnemu mate-

riałowi spodni. Zielone oczy łypnęły na niego z zaciekawieniem, a w kącikach warg zadrgała tłumiona wesołość.

— Tak, wiem! Nie wszyscy Amerykanie uczą się czytać na katalogach! — Podniósł ręce w geście poddania.

— No! Jak chcesz, to potrafisz. — Ironiczny uśmiezek rozciągnął prawą połowę jej ust, rzeźbiąc na twarzy grymas godny ancymona, który właśnie zbił szybę w oknie sąsiada i jest z tego bardzo dumny. — Teraz, zgodnie z Konwencją Genewską, przystąpimy do opatrywania rannych.

Z walizki stojącej pod ścianą wyjęła małą, podróżną apteczkę i usiadła w nogach łóżka. Gdy zdjęła z głowy ręcznik, by nie opaść jej na twarz, do Niva dotarła delikatna woń jej wilgotnych włosów. Obiema dłońmi unieruchomił książkę, dociskając ją do nóg. Widząc jego gest, Daiva rozciągnęła usta w złośliwym uśmiechu.

— Mogę ci ją pożyczyć. Nie musisz jej czytać teraz.

— Próbuję odwrócić uwagę od tego, co będziesz robić. Jak wyjmiesz igłę, moje emploi macho legnie w gruzach.

— To zamknij oczy i nie patrz. Przykro mi, ale czytanie samemu podpada pod chrapanie po pijaku.

Udając, że korzysta z rady, Niv oparł się o poduszki i obserwował Daivę spod przymkniętych powiek. Ciemne włosy w połowie zasłaniały twarz, jednak doskonale widział jej smukłe ręce i delikatne dłonie. Zawsze miał słabość do karmazynowego lakieru na paznokciach.

— Jak zaśniesz, obudzę cię tym. — Pogroziła mu trzymaną w dłoni igłą, nie podnosząc głowy.

— Znam przyjemniejsze sposoby budzenia.

— Ja też. Ale znam też przyjemniejsze miejsce do zasypiania niż podłoga we własnym pokoju hotelowym. Poczuj się jak facet! Nie mogę jednocześnie przekłuwać bąbli i bawić cię rozmową. Zresztą maniera „No leżę, no czekam, no baw mnie” jest damską domeną.

Poczuł się przywołany do porządku.

— Dlaczego Picasso?

Daiva odpowiedziała, wbrew wcześniejszym zapowiedziom, równocześnie mówiąc i opatrując skaleczenie:

— Zaczęło kręcić mnie inne postrzeganie rzeczywistości, pokazanie na płótnie czegoś więcej niż tylko kształtu czy koloru.

Klasyka jest ładna dla oka, ale w dobie fotografii samo odzwierciedlenie materii przestaje robić aż takie wrażenie. Oczywiście uznają geniusz Rembrandta czy Michała Anioła, ale trudno osiągnąć satysfakcję patrzeniem na nieruchomą formę, choćby najdoskonalszą. Chciałoby się zobaczyć więcej, sięgnąć głębiej, pójść krok dalej. Rozumiesz?

Patrząc na jej delikatnie zaróżowione policzki i falujący w rytm oddechu biust, Niv rozumiał, i to rozumiał boleśnie. Dopóki jednak trzymała w ręku igłę, wołał pozostać nieruchomą formą.

– Niech zgadnę. Z klasyki zrobiłaś krok w impresjonizm?

– Nie, przeskoczyłam ten etap. – Daiva przykleiła plaster, jednak pozostała w tej samej pozycji, ze stopami Niva na swoich udach. – Przeszłam od razu do ekspresjonizmu, ale nie był to trwały związek. Raczej znajomość na jedną noc. Kandinsky porwał mnie do abstrakcji. Na samą myśl o „Jeźdźcu” dostają gęsiej skórki! – Przymknęła oczy. – Ten ruch, to nieskrępowanie, ta radość z szaleńczej galopady! Wystarczyło kilka śmiałych pociągnięć pędzla.

Niv wstrzymał oddech, gdy w uniesieniu zaczęła rytmicznie ugniatać jego stopy.

Po kilku uderzeniach serca otrząsnęła się z zadumy i spojrzała na niego z mieszanką zakłopotania i figlarności. Rozsiadła się wygodniej i kontynuowała, o dziwo nie przerywając masażu.

– Niestety, potem abstrakcja okazała się dla mnie zbyt... abstrakcyjna. W moich poszukiwaniach chodziło o odnalezienie czegoś więcej niż malowanego obiektu. Ale próba oddania samego „czegoś więcej” w kompletnym oderwaniu od obiektu to była już przesada.

– Nie przemawia do ciebie biały kwadrat na białym tle?

– Malewicz? Daj spokój! Jestem kobietą, rozróżniam więcej niż szesnaście kolorów.

– A Rothko? Pollock? – Niv się zaśmiał.

Daiva spojrzała na niego jak na wariata.

– Sądzisz, że Amerykanie mają u mnie większe szanse niż Słowianie? – Nie doczekała odpowiedzi, więc podjęła wątek: – Na jednym z obrazów Pollocka widziałam niedopałek. Jeśli cały wielki bohomas był czymś więcej wokół niedopałka, cieszę

się, że nie namalował Statuy Wolności. Ale skoro o niedopałkach mowa... Zapalisz? – Klepnęła go w stopy, sygnalizując koniec masażu, a gdy podkulił nogi, zgrabnie zeskoczyła z łóżka.

– Na myśl o ponownym włożeniu butów dostają dreszczy.

Niv nie był nałogowcem, choć czasem lubił zapalić dla towarzystwa czy uspokojenia nerwów. Tym razem bał się jednak, że jeśli w tej chwili wyjdzie z pokoju Daivy, może się okazać, że wróci do swojego. Dotychczasowy przebieg rozmowy wciąż nie pozwalał przejrzeć planów gospodyni na resztę wieczoru, ale widząc, jak przeciąga się koło łóżka, napinając jeden po drugim mięśnie na brzuchu i udach, był zdeterminowany zostać do rana i nie przegadać całej nocy.

Daiva wyciągnęła z torebki paczkę cienkich mentoli, rozsunęła zasłony i otworzyła okno, wpuszczając do pokoju rześką bryzę.

– Starczy tej medycyny na dziś – oznajmiła. – Żadnych butów! Zapalimy tutaj.

Okno nie było zbyt szerokie, więc stali przytuleni, delektując się widokiem oceanu i usianego gwiazdami nieba. Daiva zaciągała się rzadko i symbolicznie, jak gdyby całe to palenie było tylko pretekstem do stworzenia intymnej atmosfery. Niv przez moment zastanawiał się, co jeszcze było w tej grze tylko pretekstem, ale poddał się, gdy dogasiła papierosa i oparła głowę o jego ramię.

– Ale pytałeś, dlaczego Picasso – wyszeptła jak gdyby nigdy nic. – Z abstrakcji tylko krok do kubizmu. Et voilà! Mamy Picassa na biurku. Uwielbiam sposób, w jaki oddaje emocje. Za pocałunek taki, jak na jego obrazie, byłabym gotowa zabić.

– To znaczy? – palnął Niv, nie dostrzegłszy w porę jej delikatnie odchyłonej głowy i przymkniętych oczu. Nim pojął magię chwili, czar prysł, zostawiając go z na wpół uniesioną dłonią, wydętymi wargami i przygłupią miną gimnazjalisty, który po raz pierwszy w życiu zobaczył kawałek golizny.

Na szczęście Daiva tego nie dostrzegła – lub udała, że nie dostrzega – i dała mu jeszcze jedną szansę:

– To znaczy taki, przy którym cały świat zatraci znane kształty, ujawniając coś więcej – mówiąc to, delikatnie musnęła usta palcem.

Niv nachylił się i dotknął jej warg swoimi. Delikatnie oddała pocałunek, który był długi, nawet bardzo długi, ale jednocześnie

niezwykle subtelny. Stali bez ruchu, smakując swoje usta. Kiedy jednak Niv, niemal nieprzytomny z pragnienia, spróbował przytulić Daivę, ta oderwała się od niego ze śmiechem.

— Coś w ten deseń. Wiesz, nawet przypominasz tego gościa z obrazu. No, może z wyjątkiem łysiny i brody.

Niv stał bez ruchu. Miał wrażenie, że jeśli drgnie, jego ciało rzuci się na kobietę, zrywając z niej namiastkę ubrania. Daiva odwróciła się, podeszła do łóżka i nachyliła nad porzuconą książką. Przerzuciła kilka kartek i wskazała stronę, której szukała. Niv jak przez mgłę zobaczył obraz, o którym wcześniej rozmawiali. Dwie zdeformowane twarze przyglądały mu się z zaciekawieniem.

— Oczy — skwitowała, zerkając to na obraz, to na Niva. — Masz ten sam wyraz oczu.

Niv parsknął śmiechem, z ulgą odkrywając, że to rozładowało napięcie do poziomu, w którym znowu może się kontrolować.

— Bałem się, że chodziło ci o mój nos. W końcu jestem litewskim Żydem.

— Jesteś? Zdawało mi się, że was nie poznaje się po nosie — z twarzy Daivy nie znikał łobuzerski uśmiezek — tylko po DNA mitochondrialnym.

Nim Niv skończył się śmiać, zmieniła temat:

— Skąd taki jajogłowy tyle wie o sztuce? — zapytała, rozsiadając się wygodnie na łóżku.

— Wie? Na razie rzuciłem paroma nazwiskami.

— Ja ci o sobie opowiedziałam! — fuknęła i ruchem ręki wskazała miejsce obok siebie. — Siadaj! Pogadamy inaczej!

Gdy wykonał polecenie, wskoczyła mu za plecy i zaczęła delikatnie masować jego kark i ramiona.

— To jak? Będiesz współpracował... czy mam przestać?

— Dobrze, już dobrze! Zabawna rzecz, bo w sumie poruszałem się podobną ścieżką, wychodząc początkowo z zupełnie innych założeń. Dla mnie ważne jest to, co można zobaczyć i dotknąć, nie szukam czegoś więcej. — Czując, jak Daiva nieruchomieje, Niv pojął nagle wieloznaczność tego stwierdzenia, a także wieloznaczność jej wcześniejszych słów, i aż zająknął się z przejęcia: — To znaczy w sztuce!

— Sztuka nie jest dla ciebie odbiciem rzeczywistości?

– Szczerze mówiąc, traktuję malarstwo raczej w kategoriach estetycznych i intelektualnych, nie jako źródło doznań duchowych. Też byłem nieco znudzony klasyką, ale zacząłem szukać czegoś innego niż ty. Nie czegoś więcej, ale czegoś bardziej. – Po tych słowach Daiva westchnęła i zaczęła bawić się kołnierzykiem Niva, co dość skutecznie go rozpraszało. Gdy wziął kolejny wdech, z przerażeniem spostrzegł, że zapomniał, co przed chwilą powiedział. – To znaczy... Miałem na myśli, że klasyka... To w pewnym momencie przestaje być interesujące, bo...

– I zacząłeś szukać czegoś bardziej – odpowiedziała rozbowiona Daiva, ale wcale nie miała zamiaru zostawiać kołnierzyka w spokoju.

– Właśnie! – przytaknął Niv i ze wszystkich sił uchwycił się odzyskanego wątku: – Masz rację, obraz nie odda kształtu i koloru przedmiotu równie wiernie, jak zdjęcie. Ale mi chodziło o istotę przedmiotu. Przyjaciel zabrał mnie kiedyś do galerii i pokazał prace Mondriana.

– To ten od czarnych kresek, żółtych, niebieskich i czerwonych kwadratów? Van Doesburg malował podobne rzeczy.

– Niepodobne! – Niv aż się zachnął. – I to jest właśnie to, co kultura masowa robi z ludzi! Mondrian chciał wyciągnąć z rzeczywistości najistotniejsze elementy, zredukować zbędny szum i zostawić tylko główne składowe: barwy podstawowe i linie! Nie jakieś tam skosy, ale pion i poziom, bo to one mają znaczenie symboliczne. Jak yin i yang, dzień i noc, mężczyzna i kobieta! Podobne, dopełniające się, ale nie identyczne. Van Doesburg zrobił Mondrianowi to, co kubiści syntetyczni zrobili pracom Picassa i Braque'a. „O, jakie fajne! Bryły posklejane razem wyglądają jak skrzypce. Zróbmy sobie takie!”. I teraz cały świat uważa, że kubizm to zniekształcona przestrzeń. Ale kubizm, w założeniu, miał oddawać przestrzeń możliwie wiernie, poprzez dekompozycję i odwzorowanie za pomocą brył, a nie sklejanie ich na łapu-capu, aż zaczną coś przypominać!

– Nie krzycz na mnie, nigdy nie byłem kubistką! – Daiva się śmiała.

– Przepraszam – zmitygował się Niv. – Ale denerwuje mnie, kiedy ktoś odkrywa coś wartościowego, a potem jest to wy-

paczane przez rzesze tępych naśladowców. Naprawdę, prace Braque'a i Picassa z okresu ich wspólnego mieszkania wyglądają na tle prac innych kubistów jak galopujący rumak w stadzie krów.

– Pokaż mi to – zażądała Daiva, kładąc mu książkę na kolanach. Piersiami oparła się o jego plecy, a brodę położyła na ramieniu. Niv z trudem zebrał myśli.

– Zacznijmy od czegoś trywialnego, wspomnianych „Skrzypiec”.

Kolejne pół godziny spędzili nad reprodukcjami, kręcąc głowami i obracając książkę, żeby dostrzec zakłete w nich kształty. Wreszcie Daiva rzekła:

– Masz rację, że Picasso ciekawie oddawał przestrzeń, to co opisałeś jako „coś bardziej”, ale zobacz, że zaledwie po paru latach doszedł do wniosku, że to nie dość i przeszedł do oddawania czegoś więcej.

– Ale nie porzucił oddawania bardziej!

– Hmm... – Daiva przerzuciła kilkadziesiąt stron w przód i zaczęła studiować późniejsze prace.

– Dlaczego zatrzymujesz się praktycznie wyłącznie przy obrazach nagich kobiet?

– Bo są estetyczne.

– W tej formie?

– Ktoś tu mówił o oddawaniu przestrzeni. Wysił wyobraźnię.

– Nie śmiej.

Na te słowa Daiva pocałowała go w kark, ale nim zdążył zareagować, ponownie oparła mu brodę na ramieniu i w zamyśleniu zaczęła przerzucać kartki. Zatrzymała się dopiero na rozkładówce w samym środku książki i z namaszczeniem odgięła skrzydła. Niv wstrzymał oddech. Wiedział, co zobaczy, jeszcze zanim jego oczom ukazał się czarno-biały koszmar bombardowanego miasta.

– To już wolę nudystki.

Daiva otrząsnęła się z zadumy.

– Coś nie tak?

– Nie lubię tego obrazu. Z punktu widzenia przestrzeni jest oczywiście fenomenalny, ale chyba jest dla mnie zbyt... przerażający.

– Jakoś ci nie wierzę.

Niv odwrócił się i przez kilka chwil spoglądał jej w oczy, szukając chociaż śladu ironii czy złośliwości. Dostrzegł jednak tylko zainteresowanie, więc kontynuował:

– Wpatrywałem się pewnego dnia w ten obraz i zobaczyłem wiele rzeczy, które mi się nie spodobały. Jego symbolika... nie jest dla mnie zbyt wygodna.

– Przecież wiadomo, jaka jest symbolika „Guerniki”. Zło, w tym przypadku byk, walczy z dobrem symbolizowanym przez ginącego konia. Byk zresztą pojawia się też drugi raz, utworzony z nogi konia, dźga go rogami w brzuch, co symbolizuje zdradę.

– Brawo. Widzę, że odrobiła pani pracę domową. Taką symbolikę nadali dziełu krytycy. Ale sam Picasso mówił, zwłaszcza w kontekście tego obrazu, że maluje obiekty dla nich samych. Każdy może im nadać takie znaczenie, jakie chce.

– Protest przeciwko wojnie jest uniwersalny i oczywisty.

– Protest przeciwko wojnie? Jasne. Wszyscy mają protest przeciw wojnie zakorzeniony w podświadomości. A co najmniej wszyscy w naszym kręgu kulturowym powinni mieć.

– A ty? Podświadomie nie uważasz wojny za zło?

– A co ja wiem o mojej podświadomości? – Niv westchnął. – Wiesz, jak mnie wychowywano? Na dobrego Żyda. Nie tak dawno temu cała moja rodzina została wybita niemal do nogi. Ci, którzy przeżyli, bardzo dbali o to, by ich dzieci o tym nie zapomniały. Na dobranoc opowiadano mi o obozach, gettach i gestapowskich katowniach. Ten obraz śnił mi się po nocach, zanim pierwszy raz ujrzałem go na oczy. Horror, w którym jedynym źródłem światła jest naga żarówka. – Postukał palcem w punkt na obrazie.

– Ale czy tak nie było?

– Było. Oczywiście, że było. Ale to tylko jedna strona medalu.

– Nie wmówisz mi, że Holocaust to była wina Żydów!

– Nie mam zamiaru. Chcę ci pokazać, jakie są konsekwencje bycia ofiarą.

Kobieta spoglądała na niego wyraźnie zagubiona. Widać było, że nie spodziewała się takiego obrotu rozmowy. Na jej twarzy malowała się rozterka, którą Niv bez trudu odczytał.

– Spójrz teraz na swoją reakcję. Z jednej strony chciałabyś uciec od tematu, a z drugiej masz głębokie przeświadczenie, że nie wolno przerwać Żydowi, gdy mówi o Holokauście.

Daiva tylko pokiwała głową.

– I to jest właśnie to, co rzuciło mi się w oczy później. Moje własne poczucie, że ogrom cierpień, przez który przeszedł mój naród, zamyka wszelką dyskusję. Ale zobacz, że to dotyczy wszystkich, których kiedyś skrzywdziła historia: czarnych, kobiet, gejów, dzieci alkoholików... Tyle że to stosunkowo młode dzieje i nie zawsze widać regularności.

– Regularności? I dlaczego niby miałyby to być młode dzieje? Niewolnictwo to jedna z podstaw amerykańskiej kultury.

– Ach! Słynna amerykańska wyjątkowość! Świat istniał przed podpisaniem Deklaracji Niepodległości, wiesz? – Uchylił się przed jej markowanym ciosem i podjął poważniej: – Zacząłem analizować naszą historię. Mój naród, po wielu wiekach nieobecności, ponownie zawitał do Ziemi Obiecanej, w międzyczasie zamieszkaną przez innych ludzi. I co? Okazało się, że uprzednie nieszczęścia uprawniły nas do tego, by odebrać ją siłą, mordując bez wyjątku mężczyzn, kobiety i dzieci. Pobili nas, więc teraz Bóg z nami.

– Mówisz o utworzeniu Izraela?

– Nie, akurat teraz o powrocie z Egiptu. Ale dostrzegasz pewien wzorzec. Zostałem skrzywdzony, więc to usprawiedliwia wszystkie moje czyny. Skrzywdziłem, więc usprawiedliwia to wszystko, co można zrobić mnie. Tylko w tym momencie, skrzywdzony staje się krzywdzącym, a krzywdzący skrzywdzonym. „Guernica” tylko pozornie jest czarno-biała.

– Czyli zło ma zostać bez reakcji, bo możemy skrzywdzić krzywdzącego?

– Rolą sprawiedliwości nie jest ani zemsta, ani usprawiedliwienie niegodziwości skrzywdzonego. Inaczej wpadamy w cykl, który widzę na tym cholernym obrazie. Spójrz – wskazała na dolną krawędź reprodukcji – porąbany na kawałki mężczyzna trzyma miecz. Czy to był bohater, który poległ przy obronie swoich, czy może żołdak, który wcześniej tym mieczem zabijał kobiety i dzieci? Matka ze zwłokami dziecka zwraca się do byka, który odwraca

głowę, by wysłuchać jej skargi. Po czyjej stronie opowiedzą się kolejne jej dzieci? A przywołany przez ciebie koń i ukryta głowa byka? Może raczej koń staje się bykiem? A to? Jego rana na brzuchu wydaje się za duża. Umieszczona prawie na środku, wygląda jak rana całego obrazu, otwierana na nowo, raz przez jedną, raz przez drugą stronę konfliktu. A wiesz, co moim zdaniem napędza ten przeklęty krąg? To, co z daleka wydaje się być okiem opatrności, a z bliska jest tylko dziełem człowieka, zwykłą żarówką! Jak to mówił Voltaire? Gdyby nie było Boga, trzeba byłoby go wymyślić. Wola boska lub opatrność, prawo lub konieczność historyczna... to są twory, mające tak nas oślepić, żebyśmy zamknęli oczy na dokonywane w ich imieniu okropieństwa.

– Czyli co? Receptą jest nihilizm?

– Raczej umiar. Znam Żydów i czarnych, a nawet niepełnosprawnych, którzy z powodu realnego nieszczęścia, które ich spotkało, mają roszczenia względem całego świata, uważając, że zadośćuczynienie powinno przyjść natychmiast i za wszelką cenę. Problem w tym, że właśnie nie za wszelką cenę. Ale podobnie przesadzić można ze skrucą. Po co to bicie się w piersi za grzechy przodków?

– To źle? Nazywać zło złem?

– Źle, gdy ludzi zaczyna się postrzegać jako złych lub dobrych w oderwaniu od ich czynów. Żeby daleko nie szukać, weźmy takiego Adamsa. W gruncie rzeczy, co my o nim wiemy? Może to człowiek o złotym sercu?

– Złote i na sercu? – parsknęła Daiva. – Chyba masz na myśli jego kartę kredytową.

– Upředzenia, o tym właśnie mówię. Ale na serio. Gdybyś odkryła coś naprawdę wartościowego, coś, co mogłoby dać człowiekowi władzę nad życiem i śmiercią drugiego człowieka... Komu byś to przekazała? Jak odróżniłabyś ludzi, którzy wykorzystaliby to odkrycie dla dobra ogółu, od tych, którzy użyłoby go tylko do zdobycia pieniędzy lub władzy? Nie znoszę „Guerniki”, bo jest dla mnie ostrzeżeniem. Nie przebrzmiałym, niewysłuchanym ostrzeżeniem przed drugą wojną światową, ale wciąż aktualnym ostrzeżeniem przed decyzjami, które mogą kogoś popchnąć do cyklu krzywd, który widzę w tym przeklętym obrazie.

Daiva w milczeniu zamknęła książkę i odłożyła ją na szafkę. Usiadła na krawędzi łóżka, plecami do Niva. Ten klął się w duchu, ale znów nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć, żeby rozładować zgęstniałą atmosferę.

– To nie tak miało być... – powiedziała Daiva, bardziej do siebie niż do Niva.

– Przepraszam... Jeszcze z nikim nie rozmawiałem o „Guernice” tak, jak z tobą i...

Daiva siedziała przez chwilę zamyślona, po czym bez słowa sięgnęła do wyłącznika światła. Sekundę później przywarła do jego ust, tym razem wpijając się w nie boleśnie. Całowała zachłannie, ssąc i przygryzając mu wargi i język. Jednym ruchem rozerwała wszystkie guziki jego koszuli, po czym chwyciła za dłonie i poprowadziła je wzdłuż swoich boków. Wyślizgnęła się z koszulki, gdy tylko chwycił palcami krawędź materiału. Znów rzuciła się na niego, tym razem okrywając pocałunkami tors i ramiona. Przesunęła dłonią po rozporku, a sekundę później szarpnęła pasek z taką siłą, że Niv poczuł, jak kłamra wbija mu się w brzuch. Przestał myśleć i pozwolił działać emocjom.

Kochali się mocno i gwałtownie. Niv po raz pierwszy doświadczył miłości z kobietą, która starała się dać mu rozkosz tak intensywnie, jak on jej. Ich walka na tym polu skończyła się satysfakcjonującym remisem, co także było dla niego nowością. Gdy skończyli, opadli spoceni na rozkopaną pościel. Niv gładził włosy Daivy, w myślach dobierając słowa. Gdy jednak zdobył się na wyznanie, nie dała mu dojść do głosu.

– Nic nie mów. Proszę.

Niv uśmiechnął się w ciemnościach. Po prostu mocniej ją przytulił i pogładził po policzku. Zastygł zdumiony, gdy okazało się, że ten jest mokry od łez. Tego się nie spodziewał. Daiva skuliła się na łóżku, odwracając do niego plecami.

– Idź już – wyszeptała. – Mówiłam ci, że nie lubię chrapania.

Nie miał wątpliwości, że żart był tylko na pokaz, ale coś w tonie jej głosu sprawiło, że nie podjął dyskusji. Pocałował ją tylko w ramię, przykrył kołdrą i, nie zapalając światła, odnalazł swoje ubranie. Wciągnął spodnie, a na gołe plecy narzucił marynarkę. Gdy schylał się po buty, dostrzegł leżącą na podłodze otwartą

książkę – pochłonięty Daivą nawet nie zauważył, kiedy ją stręcili. Wpadająca przez okno księżycowa poświata czyniła „Guernikę” jeszcze bardziej wyrazistą. Zaklął w duchu, zatrzasnął książkę i odłożył ją na szafkę.

Jasno oświetlony hotelowy korytarz otrzeźwił go nieco z miłostnego upojenia i wtłoczył myśli w prozaiczne koleiny, gdzie już czekały na niego dwa nierozwiązane problemy. Po pierwsze dwadzieścia godzin temu powinien był wysłać do rodziców SMS-a z informacją, że wylądował bezpiecznie. Na nic zdawały się tłumaczenia, że w dobie światłowodów i radarów oraz żądnych sensacji mediów wiadomość o katastrofie samolotu dotarłaby do widzów, zanim jeszcze uczestnicy nieszczęsnego lotu zdołaliby roztrzaskać się o taflę oceanu. Obiecał wysłać wiadomość dla świętego spokoju i teraz powinien dotrzymać słowa choćby po to, by policja, wojsko, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a na koniec litewska ambasada w Waszyngtonie nie zostały postawione w stan najwyższej gotowości, a on sam nie musiał wysłuchiwać niekończących się wymówek podczas najbliższego rodzinnego zlotu z okazji Chanuki.

Niestety, telefon rozładował mu się jeszcze w trakcie kolacji, a to nieuchronnie prowadziło do drugiego nierozwiązanego problemu – niekompatybilności europejskich wtyczek z amerykańskimi gniazdkami. A Bielawski przypominał! Gdyby Niv nie był w międzyczasie pochłonięty zagadnieniem przystawalności innych międzykontynentalnych złącz, pewnie jeszcze zdołałby coś na to zaradzić, ale teraz, w środku nocy i w nieznanym mieście, nie miał szans ani kupić przejściówki, ani jej pożyczyć.

I pomyśleć, że w domu miał ich całą kolekcję! W tym dwie amerykańskie, australijską, trzy brytyjskie, oraz jedną uniwersalną, wielką jak grejpfrut i pięć razy droższą, ale zakupioną w naiwnej wierze, że to długoterminowa inwestycja. Gdyby chociaż lotniska umieszczały na obudowach swoje logo albo panoramę najbliższego miasta, można by potraktować te ustrojstwa jak magnesy na lodówkę czy inne pseudopraktyczne suweniry i obdarowywać nimi znajomych. A tak tylko kurzyły się w szufladzie, podczas gdy on znowu nie miał gdzie podpiąć telefonu do ładowania.

Po wejściu do swojego pokoju rzucił jeszcze pozbawione nadziei spojrzenie w kierunku gniazdka, sprawdzając, czy przypadkiem nie ma wbudowanego portu USB i... przetaił oczy, po raz drugi tej nocy nie wierząc własnemu szczęściu. Oto w kontakcie tkwiła najprawdziwsza amerykańsko-europejska przejściówka, najwyraźniej pozostawiona przez poprzedniego, równie nierozgarniętego gościa!

Z ulgą podłączył smartfona, wysłał spóźnionego SMS-a i wyciszył urządzenie, gdy skonstatował, że na Litwie od dawna nikt już nie spał. Nie miał ochoty odpierać zmasowanego ataku zawołanych troską pretensji oraz błahych pytań o przyjemność z podróży i jakość hotelowego wikt i opierunku. Poza tym do śniadania zostały mu tylko trzy godziny i chciał mądrze je wykorzystać. W ubraniu padł na łóżko i trzydzieści sekund później chrapał.

* * *

Ze snu wyrwało go pukanie. Zaspał, więc Daiva przyszła zapytać, czy wszystko w porządku. W drodze do restauracji na chwilę złapała jego dłoń i mocno ścisnęła. Ten jeden gest uspokoił go bardziej niż setka słów.

Usiedli z profesorem Bielawskim. Gdy okazało się, że Daiva, podobnie jak szef Niva, jest miłośniczką narciarstwa, przełamała nieśmiałość staruszka i wspólnie zachwycali się urokami włoskich, francuskich i szwajcarskich kurortów. Niv próbował nieśmiało wspomnieć o Tatrach, ale po tym komentarzu wręcz wyeliminowali go z rozmowy. Teraz w milczeniu siorbał trzecią kawę, zastanawiając się, skąd Daiva ma tyle energii.

Profesor pożegnał się zaraz po posiłku, więc kilka kolejnych godzin obydwójce przedrzemali w ostatnim rzędzie głównej sali wykładowej, regularnie budzeni przez salwy braw. Po oklaskach przychodził czas na pytania z sali. Profesor Sestiere, choć bezczelnie przesyłał każdy kolejny wykład, w tym momencie ożywił się i rwał do mikrofonu. O dziwo mówił z sensem i na ogół kilkoma celnymi uwagami wbijał szpilę zdrowego sceptycyzmu w bezkrytyczny zachwyt publiczności. Prelegentom rzedły miny, gdy orientowali się, że to nie oni stanowią obiecany na wstępie gwóźdź programu, słuchacze zaś z politowaniem kręcili głowami,

zapominając, że w ostatniej publikacji sami użyli zaprezentowanych przed chwilą tez do podparcia własnych badań.

Lunch znów spożywali z profesorem Bielawskim. Po półgodzinie do ich stolika podszedł postawny brunet w skromnym, ciemnym garniturze. Tylko szpakowate włosy na jego skroniach zdradzały, że wszedł już w wiek średni. Reszta aparycji – od nie-nagannej cery po atletyczną sylwetkę – mogłaby stanowić wzór dla niejednego dwudziestokilkulatka.

– Dzień dobry, nazywam się Graham Young – przedstawił się przybysz, uśmiechając się przymilnie. Jego bas przywodził na myśl śpiew wielorybów. – Jestem dyrektorem działu badań i rozwoju InnoMed Pharmaceuticals, a tutaj także pełnomocnikiem prezesa. Bardzo mi miło, że znaleźli panowie dla mnie chwilę.

Bielawski zerwał się z miejsca i z entuzjazmem potrząsnął wyciągniętą dłonią gościa.

– Proszę, proszę siadać. To nam jest bardzo miło, że zaszczylił nas pan swoją obecnością! – Profesor zdawał się nie dostrzegać, że mężczyzna mierzy go wzrokiem akwizytora oceniającego wystrój wnętrza domu. Akwizytora, którego sam nieopatrznie do tego domu wpuścił, myśląc z dawno niewidzianym krewnym.

Niv westchnął w duchu, ale grzecznie się przedstawił:

– Niv Sokol, asystent profesora Bielawskiego.

Daiva wstała i wymówiła się przygotowaniami do wykładu. Niv przez chwilę odprowadzał ją tęsknym wzrokiem, a potem zasępił się na dobre. Za to profesor nadal tryskał humorem.

– Dawno czekałem na okazję, żeby zobaczyć, jak w praktyce działa ten słynny transfer wiedzy z akademii do przemysłu – trajkotał. – Ciekaw jestem, jakie zastosowania mają panowie dla moich helikaz.

– Helikazy są niezbędne w procesach naprawy DNA, nieprawdaż? – Mina Younga wyrażała zainteresowanie graniczące z fascynacją.

– O, nie tylko! Są niezbędne w procesach replikacji, transkrypcji, rekombinacji, a nawet przy tworzeniu rybosomów...

Niv zorientował się, że za chwilę wypowiedź profesora zostanie przerwana przez nieprzyjemnie wysoki głos. Od stężenia wody kolońskiej w powietrzu zapiekły go oczy.

– Dzień dobry, doktorze Sokol. Przepraszam, że przeszkadzam, ale zdaje się, że byliśmy umówieni. – W piskliwym głosie intruza pobrzmiwała źle skrywana irytacja.

– Tak, oczywiście! – Niv udał, że nie rozumiał aluzji. – Panowie pozwolą, że przedstawię. To pan dyrektor John Adams z Blue Pill Corporation, pan dyrektor Graham Young z InnoMed Pharmaceuticals. Dyrektor Adams nalegał, więc umówiłem się z nim na krótką rozmowę. Niestety, miało to miejsce dokładnie wtedy, kiedy pan profesor umawiał się z dyrektorem Youngiem, stąd to nałożenie terminów.

– Rozumiem, ale nie musimy przeszkadzać profesorowi w rozmowie z Youngiem. Może przejdziemy do innego stolika? – Adams uśmiechnął się, jednak żyły na jego skroni nabrzmiały złowrogo.

– Mam lepszy pomysł! – Niv klasnął w dłonie. – Ponieważ teraz jest jedyny moment w czasie konferencji, kiedy wszyscy mamy czas, proszę, niech pan usiądzie z nami. Wszyscy jesteśmy z branży, więc pewnie nie będzie problemu, żebyśmy sobie porozmawiali.

Na te słowa dyrektor Young i dyrektor Adams najeżyli się niczym dwa dzikie kocury.

– Doskonale! – Profesor zainterweniował dosłownie ułamek sekundy przed eksplozją. – Właśnie rozmawiamy o potencjalnych zastosowaniach moich modyfikowanych helikaz w przemyśle, więc obecność obydwu panów jest niesamowicie szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Cieszę się, że nie będę musiał się powtarzać. – Ponieważ żaden z gości nie zareagował na jego słowa, profesor klepnął Adamsa w ramię i wskazał mu miejsce przy stoliku. – Niechże pan usiądzie! – zakomenderował zniecierpliwiony, bowiem spieszo mu było do jego ulubionej kwestii, którą podjął, zanim jeszcze dyrektor Blue Pill na dobre usadowił się na krześle. – Jak już zostało powiedziane, helikazy są niezbędne w procesach replikacji, transkrypcji, rekombinacji, a nawet przy tworzeniu rybosomów. To szalenie istotne enzymy! Jak panowie wiedzą, nici DNA są zwinięte w komórkach po dwie, w formie helisy. Oczywiście nie są one identyczne, a komplementarne, to znaczy...

– To znaczy, że naprzeciw adeniny jest tymina, naprzeciw guaniny cytozyna i vice versa. Panie profesorze, ukończyłem biologię

i nie sędę, żebyśmy mieli czas omawiać takie podstawy – przerwał mu niegrzecznie dyrektor Adams.

– Pan skończył studia? – zainteresował się profesor. – A gdzie, jeśli można spytać?

– Na... uniwersytecie. – Adams, który do tej pory wręcz epatował pewnością siebie, niespodziewanie się speszył.

– A na jakim?

– No... stanowym. – Zamilkł, jednak nieskończenie cierpliwy uśmiech profesora uświadomił mu, że rozmowa nie drgnie, dopóki nie dokończy. – Kojoty – wymruczał wreszcie.

Na twarze naukowców wypłynął wyraz zdumienia.

– Uniwersytet Południowej Dakoty. W Vermillion – podpowiedział usłużnie dyrektor Young, okraszając to pogardliwym uśmiechem.

– Ach. Tam. – Profesor przez krótką chwilę przyglądał się Adamsowi obojętnie, po czym bezceremonialnie zwrócił się do Younga: – Pan także posiada wykształcenie pozwalające z nami swobodnie rozmawiać o szczegółach naszej pracy badawczej, czy woli pan wysłuchać wstępu?

– Mam doktorat, ale z robotyki – odparł tamten z godnością. – Będę więc bardzo szczęśliwy, jeśli pan profesor nie uzna za stratę czasu omówienia sprawy od podstaw.

– Z robotyki? A można spytać, gdzie się pan doktoryzował?

– MIT.

– No! To rozumiem! – ucieszył się profesor, wyraźnie zadowolony z odpowiedzi. – Ale co pan tu robi?

Na twarz Younga wrócił pogodny wyraz.

– Swego czasu zajmowałem się nanotechnologią w kontekście stabilizacji złamań, a w obecnych czasach rozkwitu projektów interdyscyplinarnych...

– Rozumiem! Chciałby pan wykorzystać moje badania nad helikazami podobnie jak Niv! On już zrobił takie małe robociki, które oddziałują trochę z helikazami.

– No właśnie! Chcę porozmawiać o tym, ile panowie sobie życzą za przekazanie nam dokumentacji tych eksperymentów. Mówimy o transakcji wartwej dziesiątki milionów dolarów. – Dyrektor Adams próbował wrócić do rozmowy.

Profesor Bielawski skrzywił się, jak gdyby tamten nie zaproponował właśnie kwoty, za jaką większość ludzi gotowa jest zabić własną matkę, a puścił wyjątkowo głośnego bąka.

— A pan, doktorze Young?

— Chcę po prostu porozmawiać o pomysłach badawczych pana profesora oraz doktora Sokola i sprawdzić, na ile są one kompatybilne z tym, co robimy w naszej firmie. Jeśli udałoby się nam zidentyfikować tematy interesujące obie strony, moim zadaniem jest zaproponować panom wspólne projekty. — Przedstawiciel InnoMedu wygłosił to twierdzenie z ocierającą się o lekceważenie lekkością, ale jego spojrzenie pozostawało czujne. Dopiero po kilkunastu sekundach milczenia Bielawskiego kącik rozciągniętych w przyjacielskim uśmiechu ust dyrektora drgnął nieznacznie.

Niv rozważał, czy nie przypomnieć mu, że powinien oddychać. Zwłaszcza że starszy mężczyzna wpadł właśnie w jeden ze swoich transów i trudno było ocenić, kiedy znowu się odezwie. Adams wiercił się niespokojnie od czasu pytania o uczelnię, teraz w jego ślady poszedł Young. Patrzyli pytająco na Niva, ale ten nie miał zamiaru ułatwiać im życia.

— Wie pan co?! — zawołał zniecierpliwiony profesor. — Coś mi się nie zgadza! Wczoraj zdawał się pan zaskoczony, gdy wspomniałem o pracach mojego asystenta.

— Bo ja, panie profesorze, całą noc czytałem artykuły doktora Sokola. — Young wydawał się urażony kryjącym się za twierdzeniem Bielawskiego oskarżeniem. — Moje wcześniejsze doświadczenie z nanobotami, którego zapewne brak większości biologów, pozwoliło mi dostrzec ich prawdziwy potencjał. Dziś rano spytałem prezesa, czy ten temat jest dla nas interesujący i okazało się, że tak!

Niv przypuszczał, że dyrektor łże jak z nut, ale profesor wydawał się usatysfakcjonowany.

— Zatem wracając do naszej rozmowy...

— Dobra — przerwał Adams — niech profesor pogada sobie z Youngiem, w końcu ich wartość księgową ma się do naszej tak, jak wartość helikaz do nanobotów. Może jednak zechce pan, doktorze Sokol, usiąść ze mną i porozmawiać poważnie?

Niv uśmiechnął się do niego złośliwie, udając zaskoczenie.

— Pan chce rozmawiać ze mną? Pan, zdaje się, nie rozumie. Jestem tylko asystentem pana profesora. Moje badania są podstawowe i dalekie od wartości patentowej. O czym ja miałbym z panem rozmawiać? Zanim będziemy myśleli, co w ogóle dalej robić, chcemy usłyszeć opinię kolegów po fachu na temat kilku problemów, jakie się przed nami pojawiły.

Adams popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, ile wart jest uniwersalny lek na raka?

— Ależ ja nie mam leku na raka. Wprost przeciwnie.

— Przecież złożył pan niedawno w ISF¹ projekt zmniejszenia szkodliwości mutagenezy sterowanej nanobotami, prowadzonej symultanicznie na poziomie organizmu! — wypalił Adams niemal z pretensją.

— No tak, złożyłem. Muszę, jak sam tytuł wskazuje, zmniejszyć szkodliwość nanobotów.

Adams i Young popatrzyli po sobie, najwyraźniej zbici z tropu.

— Przecież granty składa się na to, co już się zrobiło! — krzyknęli niemal jednocześnie, nie kryjąc oburzenia. Dopiero teraz Niv dostrzegł, jak bardzo są do siebie podobni. Wzrost, postura, pogardliwy uśmieszek na zaskoczonych obliczach — wszystko jak spod jednej sztancy.

— Też próbowałem ci to wyjaśnić. — Profesor Bielawski westchnął ciężko. — Tylko w ten sposób możesz zapewnić sukces projektu. Nikt o zdrowych zmysłach nie ryzykuje porażki, bo choćby jeden zawalony projekt grozi utratą wiarygodności w oczach grantodawców i, co za tym idzie, finansowania. — Zamilkł, by chwilę później zmierzyć dyrektorów nieprzychylnym spojrzeniem. — Ja mam jednak do panów inne pytanie. Złożyliśmy projekt trzy miesiące temu. Skąd panowie w ogóle wiedzą, co jest w środku? Procedura oceny jest objęta klauzulą poufności.

Young spuścił wzrok, ale na twarzy Adamsa malował się pełen politowania uśmiech.

¹ ISF (Israel Science Foundation) — Izraelski Fundusz Naukowy powołany w 1972 roku celem dystrybucji środków na badania podstawowe.